

No i czyż mógł wyznać, że obraził tak ciężko tę panią z powodu żdźbła trawy?

Porucznik De Venera spoliczkował go.

Tommasino czuł się znużony niepotrzebnym życiem, znużony obfитоścią swego głupiego ciała, znużony drwinami, które słyszał zewsząd, a które teraz musiałyby przybrać na sile i stać się bardziej jeszcze gorzkie, gdyby, otrzymawszy policzek, nie chciał stanąć do pojedynku. Przyjął wyzwanie, zażądał jednak, żeby warunki pojedynku były jak najostrożniejsze. Wiedział, że porucznik De Venera jest znakomitym strzelcem. Każdego ranka dawał tego dowody ćwicząc żołnierzy w strzelaniu do celu. Zgodził się pojedynkować na pistolety, nazajutrz o świcie, właśnie tam, w strzelnicy.

Kula w piersi. Z początku rana nie wydawała się zbyt groźna; później przyszło pogorszenie. Kula przebiła płuco. Wysoka gorączka; maligna. Cztery dni i cztery noce beznadziejnych usiłowań ratunku.

Pani Unzio, kobieta bardzo pobożna, kiedy lekarze oświadczyli w końcu, że nic już nie ma do zrobienia, jąła prosić i zaklinać syna, żeby przynajmniej przed śmiercią pojednał się z Bogiem. Tommasino, chcąc pocieszyć matkę, uległ i zgodził się przyjąć spowiednika.

Kiedy ów, stojąc u śmiertelnego łóża, zapytał:

— Ale dlaczego, synu mój? Dlaczego? — Tommasino, z przymkniętymi oczyma słabiutkim głosem, z westchnieniem, które było zarazem łagodnym, bardzo łagodnym uśmiechem powiedział:

— Ojczy, o żdźbło trawy...

I wszyscy myśleli, że aż do ostatniej chwili nie przestali majaczyć.

Patent

Ileć ktoś żartobliwie robił mu wyrzuty z powodu dziwnego trybu jego życia, sędzia D'Andrea pochylał swą chudą postać ruchem człowieka dźwigającego z rezygnacją ciężar ponad siły i mówił tylko: „Ach, synu drogi!”, ale głos jego miał przy tym jakąś szczególną intonację, a oczy i ręce wykonywały dziwne, nieokreślone ruchy.

Nie był jeszcze stary; mógł mieć najwyżej czterdzieści lat. Ale patrząc na niego musiało się myśleć o przedziwnych, nieprawdopodobnych, wręcz monstrualnych skrzyżowaniach ras, o tajemnej pracy całych stuleci, jaką doprowadziła w końcu do wyprodukowania osobnika ludzkiego znanego jako sędzia D'Andrea.

Zdawało się, że i on sam, wbrew ubogiej, skromnej, najzwyczajszej w świecie historii swojej rodziny, świadom jest tych jakichś niesłychanych powikłań rasowych, które sprawiły, że jego mizerną, pociągłą twarz białego człowieka otaczały kędzierzawe, gęste, murzyńsko-czarne włosy; sędzia D'Andrea zdawał się znać do głębi ową mozolną pracę stuleci, która na jego rozległym, wypukłym czole wyryła gęstą sieć zmarszczek, niemal całkowicie pozbawiła wzroku małe oczka barwy ołowiu, pokurczyła i poskręcała jego chuderlawą, mizerną figurkę.

Koślawy, z jednym ramieniem wyższym od drugiego, dreptał ulicami jakoś na ukos, po psiemu. Za to w sensie moralnym nikt nie umiał kroczyć prościej od niego. Przyznawali to wszyscy.

Widzieć to on wiele nie widział, ten sędzia D'Andrea, ale za to na pewno bardzo dużo myślał, i to w porze, kiedy myśli się najsmutniej, czyli nocą.

Sędzia D'Andrea nie mógł sypiać.

Prawie całe noce przepędzał przy oknie, przegarniając palcami swoje sztywne, gęste murzyńskie włosy, z oczyma wzniesionymi ku gwiazdom — tym nieruchomym i jasnym, i tym mrugającym drżącym światelkiem. Te, które najżywiej błyszczały, układał sobie w myśli w idealne figury geometryczne — trójkąty, kwadraty — albo, przymrużając oczy za grubymi szklami, chwycił poprzez rzęsy światło którejs z tych gwiazd, jakby pomiędzy okiem a gwiazdą nawiązywał więź cieniutkiej świetlnej smużki, po której jego dusza wędrowała niby zbłąkany pajaczek.

Takie nocne rozmyślenia nie sprzyjają zbytnio zdrowiu. Nabyta w ten sposób tajemna wiedza wywołuje prawie zawsze, zwłaszcza u tych, co noszą w sobie pewność, na której niepodobna się oprzeć — pewność, że nic nie można wiedzieć, a nic nie wiedząc w nic wierzyć — pewnego rodzaju obstrukcję. Obstrukcję duchową, rozumie się.

I sędzia D'Andrea, kiedy zaczynał świtać nowy dzień, odczuwał jako coś śmiesznego i okrutnego zarazem — konieczności pójścia, jak co dzień, do sądu, wymierzania tam sprawiedliwości — w zakresie, jaki do niego należał — małym, biednym, okrutnym ludziom.

Tak samo jak nie sypiał on sam, również i na swoim stole w wydziale śledczym nie pozwalał nigdy zasnąć żadnym urzędowym papierom, nawet jeśli miał przez to o dwie czy trzy godziny opóźnić zjedzenie obiadu czy też wyrzec się zwykłej wieczornej przechadzki z kolegami po otaczającej mury miejskie alei.

Punktualność tę poczytywał sobie za bezwzględny obowiązek, ale zarazem wznagała ona jeszcze jego udrekę. Nie tylko bowiem musiał wymierzać sprawiedliwość, ale ponadto — robić to tak z miejsca, bez namysłu.

Sądził, że jego nocne rozmyślenia mogą mu być pomocne w tym, by nie tak gorączkowo pełnić swoje obowiązki.

Ale kiedy nocą patrzył w gwiazdy przegarniając ręką swoje murzyńskie włosy, jak na złość nachodziły go myśli wprost przeciwne tym, jakie przystoją sędziemu śledczemu; tak, że nazajutrz rano przekonywał się, że nocne rozmyślenia nie tylko mu nie pomogły, ale wręcz utrudniły właściwe pełnienie obowiązków, zwiększając wewnętrzne opory, jakie w nim budziła funkcja sędziego śledczego.

I otóż zdarzyło się po raz pierwszy, że pewna teczka z aktami drzemała na biurku sędziego D'Andrea już około tygodnia; a sprawa, która od tyłu dni na niego czekała, wprawiała go w stan nieustającego, ponurego przygnębienia.

Chwilami przygnębienie to ogarniało go z taką siłą, że powieki zaciskały mu się pod gniewnie zmarszczonymi brwiami. Z piórem w ręku, sztywno wyprostowany, sędzia D'Andrea zapadał w nagłą drzemkę, kurczył się i podrywał gwałtownie, niby gąsienica w trakcie zrzucania poczwarki, niezdolna oprząść się w kokon.

Kiedy jakiś głośniejszy odgłos czy gwałtowniejszy wstrząs opadającej głowy wyrwał go z drzemki i wzrok jego padł na leżącą w rogu stołu teczkę, odwracał głowę i zaciskając wargi, ze świstem wciągał przez nozdrza dużo, dużo powietrza, wciągał je najgłębiej jak mógł, jakby chciał napęcznieć nim ściśnięte udreką wnętrzości; następnie, otwierając szeroko usta, wyrzucał powietrze z przykrym uczuciem mdłości i zaraz sięgał ręką do długiego nosa poprawiając okulary, które obsuwały się po spotniałej skórze.

Była to naprawdę krzywdząca sprawa. Zawierała w sobie bezlitosną niesprawiedliwość, przeciwko której nieszczęsna ofiara rozpaczliwie usiłowała się bronić, bez najmniejszej szansy powodzenia. W sprawie tej ofiara nie miała właściwie na kim szukać odwetu; próbowała szukać go na dwóch ludziach, pierwszy, jacy się nasunęli pod rękę — i otóż, sissignòri! — wymiar sprawiedliwości musiał go za to potępić, tak, potępić, bez pardonu, w okrutny sposób legalizując krzywdę, jaka tego biedaka stale spotykała.

Podczas przechadzki sędzia D'Andrea próbował pomóc o tym z kolegami. Ale zaledwie wymienił nazwisko Chiarcaro — nazwisko nieszczęśnika, który sprawę wyto-

czył — koledzy mienili się na twarzy i śpiesznie wsuwali rękę do kieszeni, by ścisnąć w dłoni klucz, albo wyciągali wskazujący i mały palec „od uroku”, albo szybko chwyтали wiszące na dewizce od zegarka talizmany — srebrne garbuski, gwoździe, różki z koralu. Czasem któryś wybuchnął otwarciem:

— Na miłość boską, będziesz ty cicho?

Ale chudy sędzia D'Andrea nie mógł być cicho. Ta sprawa stała się dla niego prawdziwą idée fixe. Okrężnymi drogami wracał znowu do tego tematu. Spodziewał się, że koledzy pomogą mu spojrzeć jaśniej na to zagadnienie — mówił; chciał przedyskutować wypadek czysto teoretycznie.

Bo naprawdę był to bardzo niezwykły, specjalny wypadek. Człowiek, powszechnie uważany za „jettatore” — rzucającego uroki — oskarżył o zniesławienie dwóch ludzi, którzy, jak zauważył, na jego widok robili „zaklęcia od uroku”.

Zniesławienie? I skądże mu się teraz na to zebrało, biedaczynie, skoro od wielu lat jego fama jako jettatore była w całej okolicy zakorzeniona? Skoro niezliczone ilości świadków mogły zeznać w sądzie pod przysięgą, że w wielu rozmaitych okolicznościach okazał on, iż dobrze mu jest znana ta otaczająca go sława — i gwałtownie przeciw niej protestował? Czyż podobna było uczciwie skazać owych dwóch młodzieńców jako winnych zniesławienia — za gest, który zwykli byli czynić otwarciem wszyscy, nie wyłączając samych sędziów?

D'Andrea dręczył się więc w rozterce, a najbardziej gryzł się, ilekroć spotkał któregoś z adwokatów, którym ci dwaj młodzieńcy powierzyli swą sprawę: chudego, chorowitego adwokata Grigli, o profilu starego drapieżnego ptaka, albo otylego Manina Baracca, który z tryumfalną miną obnosił na brzuchu ogromny róg kupiony specjalnie na tę okazję i śmiał się całą swoją różową gębą elokwentnego wieprza, obiecując współobywatelom wspaniałą zabawę w sądzie.

Otóż właśnie po to, żeby nie dostarczać całemu miastu „wspaniałej zabawy” kosztem tego nieszczęśnika, sędzia D'Andrea powziął na koniec decyzję posłania woźnego do

domu owego Chiarcaro z zaproszeniem do wydziału śledczego na rozmowę. Choćby mu przyszło pokryć koszty sądowe z własnej kieszeni, zdecydowany był nakłaniać tego człowieka do wycofania skargi, wykazując mu jasno jak na dłoni, że dwaj młodzieńcy nie mogą, w żaden sposób zostać skazani, a dla niego ich uniewinnienie pociągnie niewątpliwie za sobą większe jeszcze szkody i dotkliwsze prześladowanie.

Niestety! Wielka to prawda, że dużo łatwiej jest czynić zło niż dobro; nie tylko dlatego, że zło można wyrządzić każdemu, dobro zaś tylko tym, którzy tego potrzebują; ale i dlatego — a może zwłaszcza dlatego — że sama konieczność wyświadczenia owego dobrodziejstwa budzi w duszach niektórych ludzi poczucie urazy i zawziętość, która niemal ten czyn uniemożliwia.

Że tak się rzecz miała w danym wypadku, sędzia D'Andrea spostrzegł, zaledwie podniósł oczy na Chiarcaro, który wszedł do pokoju w chwili, gdy sędzia zajęty był pisaniem. Na jego widok doznał wstrząsu; rzucił papiery, zerwał się na nogi i krzyknął:

— Za pozwoleniem! Cóż to znów za szopki? Wstydź się pan!

Bowiem Chiarcaro ucharakteryzował się na takiego jettatore, że aż dziw brał. Na zapadniętych, żółtych policzkach zapuścił sobie gęstą, ostrą szczecinkę; na nos założył grube okulary w kościanej oprawie, czyniące go podobnym do puszczyka. Miał na sobie dziwaczne, z błyszczącego materiału ubranie, które wisiało na nim luźno jak na kiju.

Wybuch sędziego nie zrobił na nim wrażenia. Rozdawszy nozdrza i wyszczerzywszy żółte zęby zapytał półgłosem:

— A więc pan w to nie wierzy?

— Za pozwoleniem! — powtórzył sędzia D'Andrea. — Tu nie ma żartów, drogi Chiararo! Czyś pan oszalał? No, niechże pan siada.

Postąpił krok w jego stronę i uczynił ruch, jakby chciał mu położyć rękę na ramieniu. Chiarcaro wierzgnął jak muł i zatrzęsł się.

— Panie sędzio, proszę mnie nie dotykać! Niech się pan strzeże! Albo, jak Bóg na niebie, oślepnie pan!

D'Andrea popatrzył na niego zimno.

— Jak pan sobie życzy — przemówił po chwili. — Po-
stałem po pana dla pańskiego dobra. Oto krzesło, proszę
usiąść.

Chiarcaro usiadł i turlając rękami swoją bambusową ła-
skę wzdłuż ud zaczął potrząsać głową z miną przy-
glupka.

— Dla mojego dobra? Ach, więc panu się zdaje, że
wyświadcza mi dobrodziejstwo, twierdząc, że nie wierzy
w moje zdolności?

D'Andrea usiadł także i rzekł:

— Chce pan, żebym powiedział, że wierzę? No, więc
powiem, że wierzę! Jest pan zadowolony?

— No signore — zaprzeczył zdecydowanie Chiarcaro
tonem człowieka nie tolerującego żartów. — Pan musi
wierzyć w to naprawdę i okazać to w przebiegu sprawy
sądowej!

— To będzie nieco trudno — D'Andrea uśmiechnął się
niewyraźnie. — Ale spróbujmy się porozumieć. Chciałbym
pana przekonać, że droga, jaką pan obrał, nie jest najlepsza
i nie doprowadzi pana do bezpiecznego portu.

— Droga? Port? Jaka znów droga i jaki port? — zapy-
tał Chiarcaro.

— Ani ta obecna — odpowiedział D'Andrea — ani tamta
procesowa. Pan wybacz, ale one obie mają się do siebie
ot tak.

Tu sędzia skrzyżował wskazujące palce obu rąk na znak,
że te drogi są ze sobą sprzeczne.

Chiarcaro schylił się i wetknął pomiędzy dwa palce
sędziego swój, gruby, włochaty i niezbyt czysty.

— To wcale nieprawda, panie sędzio! — powiedział
kiwając tym właśnie palcem.

— Jak to nie?! — wykrzyknął D'Andrea. — Oskarża
pan o zniesławienie dwóch młodych ludzi dlatego, że mają
pana za jettatore, a równocześnie pojawia się pan u mnie
w takiej postaci i nawet domaga się, żebym wierzył, że
pan rzuca uroki.

— Sissignore.

— I nie widzi pan w tym sprzeczności?

Chiarcaro potrząsnął głową; usta jego rozwarły się w
bezglósnym śmiechu politowania.

— Coś mi się wydaje, panie sędzio — rzekł po chwili —
że pan nic nie rozumie.

D'Andrea popatrzył na niego z osłupieniem.

— No, niech pan mówi, niech pan mówi, drogi Chiarcaro.
Możliwe, że to święta prawda przemawia przez pańskie usta.
Ale proszę mi to łaskawie wytłumaczyć, bo rzeczywiście
nie rozumiem nic a nic.

— Sissignore. Już zaczynam — rzekł Chiarcaro przysu-
wając bliżej swoje krzesło. — Przekonałem pana nie tylko
o tym, że pan nic nie rozumie, ale i o tym także, że pan
jest moim największym wrogiem. Pan, właśnie pan, Si-
ssignore. Pan, który sądzi, że wyświadcza mi dobrodziejstwo.
Moim najzacieklejszym wrogiem! Czy wie pan o tym, że
oskarżeni zwrócili się o obronę do adwokata Manina
Baracca?

— Tak, wiem o tym.

— Otóż ja, Rosario Chiarcaro we własnej osobie, uda-
łem się do adwokata Manina Baracca i dostarczyłem mu
dowodów: nie tylko oświadczyłem, że już od roku z górą
wiem o tym, że każdy, obok kogo przechodzę, odczynia na
mój widok uroki, ale ponadto złożyłem udokumentowane
dowody i wiarygodne świadectwa o przerażających faktach,
na których opiera się, niewątpliwa i nie do obalenia — ro-
zumie pan, panie sędzio? — moja sława jettatora.

— Pan do Barakki?

— Sissignore, ja.

Sędzia patrzył na niego coraz bardziej osłupiały.

— Rozumiem jeszcze mniej niż przedtem. Jakże to? Że-
by tym lepiej zapewnić tym młodzieńcom uniewinnienie?
Więc o coście się właściwie pokłócili?

Chiarcaro był wyraźnie znieczierpliwiony ciężkim pomyśle-
niem sędziego D'Andrea. Zerwał się na nogi i wymachując
w powietrzu rękami, począł krzyczeć:

— Ależ bo ja chcę mieć urzędowe stwierdzenie mojego
daru, wciąż jeszcze nie rozumie pan tego? Chcę, żeby ta
moja groźna moc została uznana, przecież to teraz mój je-
dyny kapitał!

Sapiąc ze złości wyciągnął ramię, uderzył mocno o ziemię bambusową laską i znieruchomiał w tej goteskowo-władczej pozie.

Sędzia D'Andrea przygarbił się, ścisnął głowę rękami i szepnął, przejęty do głębi:

— Biedny mój Chiarcaro, biedny mój Chiarcaro, piękny mi kapitał! I cóż ty z nim poczniesz, cóż ty z nim poczniesz?

— Co z nim pocznę? — odparł żywo Chiarcaro. — Pan, drogi sędzio, do wykonywania swego zawodu, nawet tak marnie, jak go pan wykonuje, potrzebował przecież dyplomu, prawda?

— Dyplomu? Oczywiście.

— No właśnie. Ja też chcę mieć patent, panie sędzio. Patent jettatora. Z marką stemplową! Z urzędową pieczęcią! Patentowany jettatore królewskiego trybunału.

— No i co z tego?

— Co z tego? Umieszczę ten swój tytuł na biletach wizytowych. Panie sędzio, zniszczono mnie. Pracowałem. Wyrzucono mnie z banku, gdzie byłem kancelistą, pod pozorem, że dopóki ja tam jestem, nikt nie przychodzi po pożyczki, nikt nie chce zaciągać żadnych zobowiązań. Wyrzucono mnie na bruk z żoną od trzech lat sparaliżowaną i z dwiema córkami na wydaniu, na które nikt nawet spojrzeć nie zechce, ponieważ są moimi córkami. Żyjemy z tego, co nam przysyła z Neapolu syn, który też jest obarczony rodziną, czworo dzieci, panie sędzio — na dłuższą metę on nie może się tak dla nas poświęcać. Nic mi innego nie pozostaje, panie sędzio, jak zacząć uprawiać zawodowo rzucanie uroku, więc tak się przystroiłem, w te okulary, w to ubranie, zapuściłem brodę. Brak mi tylko jeszcze patentu, by zacząć działać! Pyta mnie pan, w jaki sposób? Pyta mnie pan o to, ponieważ jest pan, powtarzam, moim wrogiem!

— Ja?

— Sissignore. Ponieważ okazuje pan, że nie wierzy w moją moc! Ale na szczęście inni w nią wierzą, wie pan? Wszyscy, wszyscy w nią wierzą! A w tym mieście jest tyle domów gry! Wystarczy, żebym się pokazał! Nie muszę nawet nic powiedzieć. Zapłacą mi, byłem sobie poszedł! Zaczne

się kręcić w pobliżu fabryk, przystawać przed sklepami. I wszyscy, wszyscy będą mi płacili daninę. Daninę od ciemnoty, mówi pan? A ja powiadam, że to ubezpieczenie. Bo, panie sędzio, tyle zółci nagromadziło się we mnie, tyle nienawiści do tej parszywej ludzkości, że czuję, jakbym naprawdę miał w spojrzeniu moc zburzenia całego miasta aż do fundamentów!

Sędzia D'Andrea, wciąż ściskając głowę rękami, czekał chwilę, aż zelżeje wywołany wzruszeniem ucisk w gardle, tak że będzie mógł dobyć głosu. Wreszcie, przymknawszy za szklami okularów małe oczka barwy ołowiu, wyciągnął ręce, objął Chiarcara i długo trzymał go w ramionach.

Tamten poddawał się biernie.

— Jest mi pan naprawdę życzliwy? — zapytał. — Jeżeli tak, to niech pan pospieszy się ze sprawą, żebym jak najprędzej uzyskał to, czego pragnę.

— Patent?

Chiarcaro wyciągnął ponownie ramię, uderzył bambusową laską o podłogę i przykładając drugą rękę do piersi powtórzył tragicznie uroczystym tonem:

— Patent.